

102,
STOK 102
Archiwum Wschodnie
228
ANNA STOKOWSKA

© ARCHIWUM WSCHODNIE

ANNA STOKOWSKA z domu Brańska, córka Michała i Antoniny, urodzona 4 lutego 1901 roku. Mąż Bolesław Jan Stokowski był pracownikiem sądowym, naczelnym sekretarzem Wydziału Prezydyjnego w Białymstoku, dużo pracował społecznie, był w POW.

- Mieszkaliśmy w Sądzie. Jak wybuchła wojna i przyszli sowieci do Białegostoku, mówiłam do męża: "może wyprowadzimy się z Sądu?". On powiedział: "nie, ja znam dobrze język rosyjski, będę pracował". Tak zostaliśmy. 27 września 1939 roku, do drzwi zapukało trzech Sowietów, zapytali się: "czy tu mieszka Stokowski?" mąż otworzył, powiedzieli, żeby na chwilę z nimi poszedł i coś im objaśnił, bo oni zajęli budynek sądowy. Mąż poszedł z nimi i więcej nie wrócił. Sześć tygodni trzymali go w schronie w Sądzie. Chciałam paczkę podać, nie przyjęli. Po sześciu tygodniach wywieźli go do więzienia w Białymstoku. Kiedy wyprowadziłam się z Sądu, przychodziłam tam i pytałam się o męża. Odpowiadali mi, że jak wyda nazwiska pewnych ludzi / myślę, że chodziło im o peewiaków/ to będzie zwolniony. Przez całą zimę nosiłam mu paczki, gdy powiedzieli mi kiedyś, że go już nie ma, że wywieźli. Słyszałam od ludzi, że niby do Mińska.

Jak męża mego zabrali ja wtenczas wynajęłam mieszkanie przy ulicy Mickiewicza. Nawet mebli nie ustawiłam. Znajoma moja pani Ledzińska powiedziała do mnie: "pani Stokowska, niech pani dzisiaj nie nocuje w domu, bo dzisiaj mają zabierać." "Ale gdzie ja pójdę?" Naprzeciwko matka mieszkała, ale jak ja do niej poszłabym, to zabraliby i matkę i siostrę. I rzeczywiście tej nocy nas zabrali.

13 kwietnia 1940 roku wywieźli nas, mnie i dzieci. Córka Barbara miała 11 lat, syn Janusz 14 -ty rok. Byłam tak zrozpaczo-
na, że chciałam z balkonu skakać, ale syn mój mnie uspokoił,
powiedział "Trudno". Zabrałam sporo rzeczy. Rosjanie pozwolili
dużo zabrać, sami pomagali, mówili: "bieri, bieri, kojku, bisiklet
syn budiet katatsja". Zabrałam rzeczywiście rewer, łóżko, pościel
trochę żywności, cały worek sucharów, jabłka suszone, które potem
mnie ratowały. Wieźli nas cały miesiąc. Podczas drogi dawali
śledzie solone, niemoczone, sami zresztą też takie jedli, i
"kipiatok". Wagony były okropne. Bydłące, jakieś prycze. Spało
się na tłumokach. Dużo ludzi było w wagonie, bardzo napchane.
Jechała ze mną rodzina Popławskich, tacy prości ludzie. On
robił miotły. Córka ich wyszła za mąż przed wojną za wojskowego
i dlatego ich zabrali. Płakaliśmy podczas drogi, modliliśmy się.
Zawieźli nas do Pawłodaru. Było to 1 maja. Miesiąc majowy, więc
Polacy pokłękli i zaczęli się modlić. Rosjanie przyglądali się,
dziwili, ale nie przeszkadzali. Potem porozwozili nas po swocho-
zach i kołchozach. Mnie zawieźli dwadzieścia kilometrów od Pa-
włodaru. Był to swochoz 499, firma nr 1 w Pawłodarskim rejonie
Pawłodarskiej obłasti KSRR. W fermie hodowano tylko owce. Dooko-
ła był goły step. Ulokowali nas w baraku-świetlicy, bardzo dużo
ludzi. Z baraku przewieziono nas tymczasowo do domu zbudowanego
z gliny i kazano nam samemu budować sobie ziemlanki. Budowało
się je z pociętej w prostopadłościany murawy łącząc gliną. Na
wierzch układało się żerdzie, następnie słomę i zasywypało zie-
mię. Po paru dniach zmarł starszy mężczyzny - Kuligowski, był
on przed wojną woźnym w Sądzie. Pochowano go bez trumny, tam nic
nie było. Wywieziona była prawie cała ich rodzina, żona Kuligo-
wskiego, jego córka Salomea, syn Tadeusz, synowa / żona syna
oficera/ z dzieckiem Maćkiem, córka Maria.

Zagoniono nas od razu do pracy. Związana była ona z hodowlą owiec, tzn. paśliśmy owce, strzygliśmy, kapaliśmy w roztworze kreoliny /przeciw świerzbowi/. Pracowaliśmy przy sianokosach. Powiedzieli : "Jak będziecie pracować, dostaniecie chleb". Przydział wynosił 500g chleba. Pogonili do pracy również dzieci: ~~ce~~ córkę i syna. Syna zabrali daleko w step, potem przywieźli go chorego. Był strasznie chory, nieprzytomny. Dawałam mu pić kompot z ususzonych jabłek. Potem sprzedawałam pewnemu Kozakowi łóżko, potem sprzedałam kołdrę i rower. W 1942 roku, kiedy chłopcy szli do wojska Andersa, mój syn był jeszcze za młody, nie miał 16 lat. Dwa razy biegał do Pawłodaru w tej sprawie, ale nie chcieli go zabrać. Dopiero trzeci raz, poszedł z Hermanowej synem i przyjeźli go. Był to 11 marca 1942 roku. Cieszył się ogromnie, dałam mu chleba i zaraz następnego dnia pojechał. Pojechał syn Daszkowskiej, Słowikowskiej. Zawieźli ich do Nowosybirsk, mam jeszcze kartki pocztowe jego stamtąd. Walczył pod Monte Casino, był ranny. Wykształcił się w Londynie. Teraz jest w Rzymie, bo ożenił się z Włoszką.

Ja z córką zostałam w Kazachstanie do 1946 roku. Było bardzo ciężko. Ogromne braki w żywności, w wielu rodzinach w ogóle nie było jedzenia, prawie umierali z głodu. Praca była trudna. Nam mieszcuchom praca wiejska wpadawała się niezmiernie ciężka, co innego tym, co byli ze wsi. Ciągłe byliśmy na wpół głodni, zimą przemarznięci, latem zgrzani. Zbieraliśmy dziką cebulę przy brzegu Irtyszu, bo tam, gdzie byliśmy, nie rosła. W lecie upał dochodził do 60 stopni, nawet trawki tam nie było. Pracowaliśmy cały dzień, od świtu. Posiłków nie było przy pracy, tylko ten chleb 500 g. Na opał zbieraliśmy "kiziak" suszony nawóz. Od brata męża z Polski dostaliśmy kilka paczek, m.in. pudełko sacharyny, makaron, kawałek słoniny, który zużywałam przez cały rok. Za rower dostałam 16 pudów pszenicy. Chodziłam do Kozaków

którzy mieli żarna. Robiło się z mąki "lepuoszki" - placki. Jedliśmy zupę z mąki, kaszy jęczmiennej albo kluski kładzione. W okolicy sadzono nad Irtyszem arbuzy i dynie, z trudem je zdobywaliśmy. Niektórzy Kozacy mieli krowy, kupowało się u nich melko, odciągnięte. W 1942 roku zachorowała córka, miała ponad 40 stopni gorączki, zawieźli ją do Pawłodaru, do szpitala. Była tam cztery miesiące. W tym czasie, kiedy jej nie było, ja chorowałam na tyfus brzuszny. Głód, brud, wszy. Mydła nie mieliśmy, żadnych innych środków czystości też nie było. Czasami na święta np. 1 maja można było kupić kawłek mydła. Dokuczały komary, pchły, inne robactwo. Dużo osób wtedy umarło. Umarła Agresowa, zostawiła dwie córeczki, potem Słowikowska umarła, też dwoje dzieci zostało i Daszkowska. Te kobiety były zabrane do szpitala, do centrali, czyli do miejsca, gdzie mieścił się zarząd swochozu. Tam umarły, a mnie ukryli i pilnowali Polacy, sześć tygodni leżałam chora. W centrali pracowała lekarka, też zesłana, bo była żoną Niemca. Ona bardzo współczuła Polakom, starała się pomóc. ~~Set~~

Sowietom to nie podobało się, miała przykrości. Córka wróciła ze szpitala z Pawłodaru. Dwadzieścia kilometrów sama / 13 lat / na piechotę, była jak patyk chuda. Wtedy sprzedaliśmy bardzo ładny garnitur mojego syna, zabrany z Polski. Trochę masła i mąki dostaliśmy za ten garnitur. Sprzedałam kołdrę, kupiła ją w Pawłodarze, żona, jednego lejtnanta z Leningradu, ewakuowana stamtąd.

Polacy trzymali się razem, nie było niesnasek, żadnych donosów. Jedna z Polek, pani Stefańska była później główną księgową na tej fermie. Utrzymywaliśmy też kontakt z Ireną Szatunówną. Pracowała w Pawłodarze, w punkcie pomocy dla Polaków. Była bardzo serdeczna, życzliwa, oddana.

Powrót

Najpierw NKWD spisało te rodziny, których synowie byli w wojsku. Mieliśmy jechać do nich. Wyjechaliśmy stamtąd w lutym 1946 roku, jechaliśmy miesiąc, wróciliśmy do Polski 13 marca. Po drodze parę razy dawano nam "kipiatok" i chleb, zupę. Przyjechaliśmy do Brześcia. Polacy przynosili nam zupę. Ja nie wychodziłam z wagonu, bo bałam się, żeby pociąg nie odjechał. Potem wzięli nas przez Warszawę i Kutno, prawdopodobnie na Ziemię Odzyskaną. W Kutnie dostaliśmy jeść, dostaliśmy mydło. Tam bardzo dużo osób zostało, ja pojechałam do rodziny, do Białogostoku. Zamieszkałam u matki.

Po powrocie byłam bardzo osłabiona. Przez kilka miesięcy musiałam, aby dojść do sił, brać zastrzyki wzmacniające na serce i witaminy. Zanim podjęłam pracę korzystałam z prowiantu i środków higieny dawanych w PURze.

© ARCHIWUM HISTORICZNE

BARBARA DRZEWINSKA

Barbara DRZEWINSKA, z domu Stokowska, córka Anny i Jana, urodzona 19 czerwca 1927 roku.

- Uzupełnię opowieść mamy. 13 kwietnia 1940 roku wywieziono nas do Rosji. W nocy podjechał samochód ciężarowy, przyszli Rosjanie, był jeden mówiący po polsku - pewno Polak. Zawieziono nas na dworzec kolejowy, kazano nam przejść do wagonów towarowych. Były tam prycze piętrowe, wagony były zamykane z zewnątrz. Od czasu do czasu zatrzymywano pociąg i można było wyjść dla załatwienia potrzeb fizjologicznych, tuż przy torach. W Pawłodarze stały samochody ciężarowe i rozwieziono nas po sowchozach. Kiedy wieźli nas przez wieś biegli za ciężarówką Rosjanie i Kirgizi i wołali: "panow priwiezli". Ulokowano nas początkowo w świetlicy, zanim zamieszkaliśmy w ziemlankach. Było to jedno pomieszczenie, po środku stał piec z kominem na zewnątrz, w każdym kącie mieszkała rodzina. Myśmy spali na jednym łóżku we trójkę, rzeczy wszystkie były pod łóżkiem. Podłoga [to] [było] zwykle klepisko. Oświetlenie robiliśmy sami, kaganki z małych buteleczek. Starsze dzieci pasły większe stada, młodsze tj. takie jak ja pasły stadka jagniąt z matkami. Ferma nasza były tak usytuowana: z jednej strony step, z drugiej stare koryto Irtysza. Irtysz wylewał dwa razy do roku, woda podchodziła pod samą fermę. Ponieważ upały tak jak i mrozy były bardzo ciężkie ziemia pękała tak, że rękę można było włożyć. Nad Irtyszem trawy były nieco lepsze, koszone je z przeznaczeniem na paszę dla owiec. Zasiwano też proso, które było zbierane kombajnami. Trochę proso pozostawało na polu. Zakładaliśmy fartuchy i zbieraliśmy te kłoski. Było to dla nas pożywieniem. Po ręcznym oczyszczeniu ziaren gotowaliśmy zupę na odciągany mleku, piekliśmy na blasze pieca placki.

Zbieraliśmy dziką cebulę, szczaw. Rosjanie zakładali sobie ogródki, ~~my~~ nie mieliśmy takich możliwości. Nie ~~wiedzieliśmy~~ jak to robić i nie było na to czasu. Pracowaliśmy od rana do wieczora. Bardzo dużo osób zmarło, głównie ci, którzy nie dawali sobie rady. Nie potrafili oszczędzać, ciągle im się zdawało, że to będzie bardzo krótko. Szybko sprzedawali swój dobytek, przejadali wszystko. Moja mama była bardzo oszczędna. Te 16 pudów pszenicy, co je dostała za rower brata, starczyło nam na długo. Latem z wielkim trudem można było zdobyć dynie, arbuzy, melony. Dużo tego nie było, albo się ukradło w polu, albo kupowaliśmy aż w Pawłodarze za rzeczy z Polski. Wymiana była właściwie towarowa. Wymienialiśmy ubrania i inne przedmioty. Ja robiłam na drutach, za mleko. Jedzenia był ciągle niedosyt. Dzieciaki np. bardzo chętnie pomagały przy przenoszeniu chleba z piekarni na furmankę bo zawsze ~~podróż~~ coś uskubały. Był na fermie sklepik, do wojny można tam było coś kupić, po wojnie już nic. W szkole byłam tylko dzień czy dwa. Była ona w innej miejscowości, czynna w zimie, gdy są tam zawije i na dwa metry nie widać osoby. Wilki podchodziły w zimie pod samą fermę. Baliśmy się bardzo ~~o siebie~~ i oczywiście o siebie.

Powrót do Polski nastąpił niespodziewanie . Któregoś dnia przyjechał na fermę oficer rosyjski. Wezwano nas do biura i powiedziano, że za parę dni wrócimy do Polski. Znow ciężarówymi samochodami przewieziono nas do Pawłodaru i znow do wagonów towarowych z pryczami. Wagony były otwarte, na stacjach można było wyjść, jedyną obawą było to, żeby pociąg nie odjechał.

Te sześć lat był to czas stracony, ja byłam w wieku, kiedy powinnam się uczyć, być wśród młodzieży. Życie zostało skrócone o ten czas.

Ludzie na fermie, gdzie byliśmy, byli różnych narodowości. Rodzimych Kazachów było bardzo niewiele. Byli to ludzie na wpół dzicy, ale dobrze do nas ustosunkowani. Bieda łączy. Byli Ukraińcy, a kiedy Niemcy zajęli Kaukaz i wycofali się, przywieziono stamtąd bardzo dużo ludzi. Nazywali ich :Czeczeńcy i Bałkancy. Byli oni bardzo prymitywni i nie potrafili sobie dać rady nie potrafili się zaadoptować. Przez jedną zimę wszyscy pomierali. Powywożono ich dlatego, tak oni mówili, że byli przychylni Niemcom.

ARCHIWUM WSCHOĐNIE

ANNA STOKOWSKA z d. Brańska, BARBRA DRZEWIŃSKA z d. Stokowska

Pawłodar - Kazachstan - osiedlenie maj 1940 - luty 1946

sowchoz

Białystok - 1946